

PRZE

RADYKALNA, BŁYSKOTLIWA, ENIGMATYCZNA

TRĄ

CE

NI



HELENE HEGEMANN

Świat Książki

PRZE
TRA
CE
NI



PRZE TRA CE NI



HELENE HEGEMANN

Z niemieckiego przełożył
Patryk Gołbiowski


Świat Książki

Przedruk na s. 201 z opowiadania *John Billy* Davida Fostera Wallace'a
za zgodą wydawnictwa Kiepenheuer & Witsch, Kolonia
(w: *Girl with Curious Hair* © 1989 David Foster Wallace).

Tytuł oryginału
AXOLOTL ROADKILL

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Anna Chyckowska

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Krystian Gaik
Maciej Korbasiński

Copyright © 2010 by Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin.

Published in 2010 by Ullstein Verlag

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki, Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2546-5
Nr 45079

Dla Lilly Sternberg

We love to entertain you
(Pro7)

Okej, noc i znowu zmaganie się ze śmiercią, strzępki udręczonego snu, mój dziecięcy pokój wstrząsany orkiestrą przeznaczenia; i wszystkie te głosy wdzierające się z podwórka, które bez przerwy krzyczą moje imię. Żadnych ulicznych hałasów, żadnych cierpiętniczych jęków potworów, właśnie wywoływanych, natchnionych siłą i nienawiścią. Tylko klawiatura kompletnej ciemności, pisk w głowie, bębny bez rytmu... W dupę. Wcześniej były sobie radosne wypociny smarkuli, teraz mamy literaturę zaangażowaną.

O 16.30 budzę się skołowana, owinięta w poszwę i przede wszystkim nudzi mi się na myśl o samej sobie. Przykucam. Cieknąca mi z prawego ucha nie wiadomo dlaczego krew splata się w wieńiec laurowy. Wprost jawi mi się coś, co po rozszyfrowaniu składa się w paskudztwo à la high society: dwa papierosy, dwie kreski ritalinu, wciągnięte ze względów higienicznych przez paragon, a nie przez banknot, i parmezan w proszku; niepokojąco rosnące w siłę załamanie nerwowe, najpewniej zjazd ketaminowy; od paru miesięcy mam najdziksze sny o zdiagnozowanym

raku, nie koszmary, coś głębszego, z których zawsze budzę się z krzykiem, bo jest tam tyle myśli, że własnych nie daje się już odróżnić od cudzych.

Za sprawą sensacji jelitowo-żołądkowych sprzężonych z napadami lęku mam ochotę rzucić się z trzeciego piętra, jednak zamiast tego włączam RTL II, gdzie nadają akurat superprogram o zwierzakach. Wyklarowuje się zeń teleobłąd. Znie-nacka pojawia się bystry szakal, potem mamy najazd kamery na stado surykattek, które szakal rozszarpie na strzępy, ponieważ za pierwszym atakiem, a przepełniony miłością widz myśli sobie: „W dupę jebane surykatki wyglądają na tak, pożał się Boże, durne, że nie zasługują właściwie na nic więcej niż porzarcie”.

Mogę się albo pobrandzlować do hard porno z górnej półki, albo pooglądać sobie paznokcie, a potem siebie w lustrze. Przydatki skórne oblaży mi wrastającymi w siebie wypryskami i łamią mi się rzęsy.

W tej chwili znowu ogarnia mnie spokój.

Tchnienie zdatności do życia wśród ludzi, przez które nie przebija już żadna mocna nuta, tylko otrzeźwiający, zwiastujący nadejście lata z dupy wietrzyk. Nie poszłam do szkoły. Pięć minut przed pierwszą długą przerwą, przedarłszy się przez śmiertelny strach, palpację serca i ból rozłupujący mi co krok czaszkę, dotarłam pod kołdrę, choć do tej pory musiało mi przecież przyjść do głowy, że:

Dobra, zgoda, dziś dla odmiany zapoznam się z pomidorem; wypadaloby uwolnić go od kanapki, do której trafił wiedziony poczuciem odpowiedzialności rodzica.

I tak godzinę po lekcjach stoję w rozkroku przed lustrem w pustym strumieniu wspomnień o przebrzmiałym śmiechu zeszłej nocy i wskrzeszonej potędze monottonnych rytmów.

Chcę zbudować sierociniec w Afganistanie i mieć masę ciuchów. Potrzebuję nie tylko jedzenia i dachu nad głową, ale też trzech gigantycznych, białych i umeblowanych willi, codziennie aż do jedenastu prostytutek, a także wykończonego pluszem oraz złotem kostiumu od Chanel, stylizowanego na sowiecki mundur z lat dwudziestych, który by mnie otulił. Pojęcia samoświadomości i osobowości chwiejnej to już historia. Tak jak każdy, kto pozuje, jak to niby zna cię lepiej od ciebie samej, bo w końcu liczy się tylko forsa. Jedziemy. Nagle widzę, jak wszyscy się na mnie lampią. Wychodzę z piątą fajką na balkon i żłopię po prostu tak długo, aż forsa się KOŃCZY. Na moją egzystencję składają się chwilowo tylko zawroty głowy i fakt, że na wpół wchłonał ją hiperrealistyczny, choć cokolwiek rozmyty za sprawą rohypnolu, eksponat cycków z wazeliny.

Mówię: „Gdy tylko zaczynamy robić coś dla kogoś oprócz samych siebie, uwalniamy się z więzienia jestestwa. Alice się nienawidzi, ale w tym cały bajer; widzę, jak świruje i wykańcza ją postępująca autodestrukcja. Tak bardzo się boję, że nie mogę myśleć. Zrobię wszystko, byle dalej utrzymywać z tobą znajomość. Jeżeli nie chcesz już się ze mną rznąć, to nie ma sprawy. Właśnie zniknęłaś z mojego życia. To wcale nie jest tak, że mogę się cały czas autorefleksyjnie i masochistycznie zadrećcać, sama nie wiem, musiało być coś jeszcze, jakaś irracjonalna chwila, jeden z tych momentów, w których nie odrywasz ode mnie swoich doskonałych bezbarwnych oczu, a ja ciągle widzę w nich, jak się zastanawiasz, ilu ludzi właśnie między nami stoi.

Pamiętasz to jeszcze? Jak to zawsze trzeba było myśleć, ile metrów dzieli człowieka od człowieka? I że ci powiedziałam, kiedy już w końcu byliśmy same, jaka to dla mnie doskonałość? Te chwile, gdy patrzyłyśmy na morze. Były tak doskonałe, że prawie nie musiałam się nimi delectować. Czuję, że oszaleję. Nie potrafię odróżnić snów od tego, co ty nazywasz rzeczywistością. W dotyku wszystko jest takie samo. Wiatr, twoja skóra, wszystko trójwymiarowe”.

Pod prysznicem bombardują mnie w zwolnionym tempie krople, które za sprawą napięcia powierzchniowego dążą do osiągnięcia kształtu kuli.

Wbrew obieguj tezie kropla wody nigdy nie ma kształtu kropli, tej dwuwymiarowej pierdoły, co z jednej strony jest okrągła, a z drugiej zbiega się w szpic. Żeby się wytrzeć, wyszarpuję z brudów kawałek turkusowego prześcieradła, które spędziło ostatnie miesiące w wielkim kubie w towarzystwie dwóch doszczętnie obrzyganych ciuchów. Czy to rzygi jakiegoś nieznanego, który nakrył mnie podczas jednej z wizyt w obleganej koedukacyjnej toalecie, czy moje? Czy dzięki temu zbliżyłam się do siebie? Ewidentnie zapominam o najważniejszych szczegółach.

Stoję śmiertelnie przygnębiona w przedpokoju na dywanie, który z nieznanym mi przyczyn znalazł się tu w zamierzczłych czasach; jest jakiś taki zielonoszary, brudny i na wylot poprzepalany. Boże, co za koszmar.

1. Moja historia w kratkę naznaczona seksem analnym, łzami i profanacją zwłok gdzieś mi się zapodziała.

2. Mam ropne zapalenie gardła.

3. Moja rodzina to banda uzależnionych od autoreklamy indywiduów, którzy utknęli w charakterystycznej dla etapu wczesnego dzieciństwa fazie wszechmocy. W najgorszym razie uraczą nas kiedyś popkulturowym tekstem zajmującym stanowisko wobec kwestii, dlaczego awangarda MIMO TO ma się za pępek świata; ale to by było na tyle.

You've made my shitlist

(L7)

Ja: – Przepraszam, pomożesz mi wybrać kurczaka? Nie umiem się zdecydować.

Stoję przed wielką zamrażarką w Lidlu.

Oryginalna ścieżka dźwiękowa: dizajnerka hetero w kardiganie w niebiesko-szare paski:

- Słucham?
- Muszę kupić kurczaka na kolację; mają z rożna i na rosół i nie wiem, co wziąć.
- Sorry, ale też nie wiem, czy twoja matka potrzebuje z rożna czy na rosół.
- Moja matka od dawna nie żyje.
- A ojciec?
- To jeden z tych przebojowych lewicujących dupków o zarobkach powyżej średniej, co non stop tworzą sztukę pod kątem nieśmiertelności i mieszkają na Auguststraße. Dzień w dzień aż do jedenastu prostytutek, co dzień żel na włosy i co dzień obróbka markerem melancholijno-ekspresjonistycznych dzieł, które składa z czarno-białych okładek płyt. W nocy razem z sze-

fami galerii wrzuca LSD; sztuka trafia na ścianę. To całe jego życie: dołująca nuta. Melvins, Julie Driscoll, Neil Young, jakby oprócz Neila Younga i Boba Dylana nikt nie tworzył muzyki; co tydzień wydaje na płyty trzysta dolców. Prawie go nie znam.

- To u kogo mieszkasz?
- Z rodzeństwem.
- I czym się zajmuje twoje rodzeństwo?
- Moja siostra ma na imię Annika; to taki szczywany biurwieszon z marketingu. A brat projektuje naprasowanki, do których potem można sobie dobrać jakiś ciuch z asortymentu firmy z siedzibą w Lipsku i parciem na social-commerce. Wrzuca te swoje projekty na platformę online i grzecznie czeka, aż jakimś przypałowi zamarzy się bujać po mieście w kremowej bluzie z kapturem opatrzonej czarno-czerwono-złotym hasłem: „Barwy narodowe nam się obsrały”. Edmond projektuje też nieironiczne T-shirty z napisem: „I’m not an Alcoholic, I’m drunk – Alcoholics go to meetings!”. Dwadzieścia trzy lata, krzyżówka Marlona Brando z... ee... kim tam jeszcze... diabli wiedzą, właściciel jednej z pięciuset istniejących na świecie par złotych najków Pro Bowl 2007 Air Force 1. Bezrobotny, beczelnie arogancki, fan Raya Davisa.

If found please return to the club.

- A ty?
- Jak u każdej nieletniej narkomanki z zacięciem autorefleksyjnym, potrzeba ucieczki od rzeczywistości manifestuje się u mnie nałogiem czytelnictwem. Wciążam naraz światłą beletrystykę o psychoanalitikach z Pakistanu i magisterki na temat

związku *Moby Dicka* z narodowym socjalizmem. Real wyłączam bez problemu.

- Miło było tak sobie uciąć pogawędkę!
- Klasa, siemka.

Przypominam sobie czasy, kiedy ładna pogoda nie była tylko pretekstem do spuszczenia żaluzji. Zdołowana wgrzynam się w podręcznik-legendę o praktycznych aspektach kultury didżejskiej.

Sytuacja na parkiecie w ciągu niespełna dwudziestu sekund ulega radykalnej transformacji. Feta, piski, nowy level ekstremum wszem wobec.

- Elo, Edmond, kiedy wracasz?
 - Nie mam pojęcia, jestem u Luthera w dziupli na Alten Schönhauser i zaraz wbija Penny, ta, co zawsze ma PCP.
 - To kiedy wrócisz?
 - Zero konkretów, tak że tego, właśnie wbijają Jakmutam i Mała, wiesz, agent plus ta picz, co zawsze na starcie musi coś zapodać... Is it mixed by you? It's mixed like shit! Berlin is here to mix everything with everything, stara!
 - Twoje?
 - „Berlin is here to mix everything with everything, stara”?
- Biorę, co mnie inspiruje i uskrzydla, Mifti. Zewsząd. Kino, muza, książki, obrazy, wierszoklectwo, foto, gadka, sny...
- Nazwy ulic, chmury...
- ...Światło i cień; właśnie tak, bo to, co tworzę i co kradnę, będzie autentyczne, byle tylko namieszało mi w duszy. Wszystko jedno, skąd co biorę, ważne – dokąd.

- Czyli nie twoje?
- Nie. Jakiegoś tam blogera.
- To kiedy teraz wracasz?
- Tak do końca to nie wiem, może niedługo.
- Znaczą się kiedy?
- Niedługo, może nawet zaraz.
- Teraz?
- Tak, zaraz, za chwilę.
- Jasne, nara.

Otwieram drzwi nowej sprzątaczkę i widzę, że na jej tępowym obliczu maluje się szok na widok doszczętnego zabarwienia. Po-
 syła mi spojrzenie, jakby spodziewała się potknąć o przegniłe
 truchło.

- Annika, po co ci sprzątaczkę?
- No bo to fajnie tak, pościel taka wyprasowana, no i w ogóle.
- I nie przeszkadzają ci wszyscy ci obcy ludzie w mieszkaniu?
- Wiesz co, Mifti, wcześniej byłaś tylko zapuszczona, a teraz
 jesteś zapuszczona dobrobytem. Przez dwa miesiące tego za-
 puszczenia dobrobytem zdążyłaś zapomnieć, że sprzątaczkę to
 też ludzie, wiesz?

Pani Messerschmidt jest na emeryturze i dorabia dwanaście go-
 dzin dziennie na czarno, bo jej mąż – jeden z tych kłótliwych
 skurwieli – właściwie nie rusza się z domu. Wyklarowuje się py-
 tanie, czy mam ochotę przestawać ze służbą, która już po sześć-
 dziesięciu minutach ofiarnej pracy na balkonie zagaja na temat
 swych relacji rodzinnych i moich skłonności do wagarowania.